



# Iwona Szelezińska Kopnij piłkę ponad chmury

REPORTAŻE Z NEPALU

MARGINESY



Iwona Szelezińska  
**Kopnij piłkę  
ponad chmury**

REPORTAŻE Z NEPALU

MARGINESY

Moim bliskim w Katmandu

COPYRIGHT © BY Iwona Szelezińska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,

WARSZAWA 2018

## NOTA O TRANSKRYPCJI

Formy spolszczone przyjąłam przy zapisie imion hinduskich bóstw (Śiwa, Parwati, Jama, Taledźu) oraz imion postaci z przekazów buddyjskich (Śakjamuni Budda, Jaśodhara), nazw mitologicznych (Mahiszasura, Kapilawastu, Waitarani), pojęć religijnych lub związanych z tradycją hinduizmu (pu-dża, sanjasin, jogi, dżanamkundali, čhaupadi), nazw nepalskich świąt i ceremonii (Gai Dżatra, Dżanku), a także miejsc kultu (Paśupatinath, Swayambhunath).

Ponadto używam polskiej transkrypcji, przedstawiając elementy nepalskiego świata powszechnie znane w naszym kręgu kulturowym, a tym samym już rozpoznawalne w konkretnym zapisie (riksza, czakra, kaszmir, aśram), oraz podając nazwy geograficzne (Katmandu, Himaćal Pradeś, Dżanakpur).

Transkrypcją angielską – przyjętą i obecną na terenie Nepalu – zapisuję natomiast wszystkie współczesne i historyczne nepalskie imiona i nazwiska, a także nazwy instytucji.

## PRZYKŁADY [W NAWIASACH WYMOWA]

### Imiona:

Raj (Radź)

Manoj (Manodź)

Samita Bajracharya (Samita Badźraćarja)

Pushpa (Puszpa)

Rashmila Shakya (Raśmila Śakja)

Charimaya Tamang (Ćarimaja Tamang)

Prabhanjan (Prabhańdźan)

### Institucje:

Shakti Samuha (Śakti Samuha)

Jay Nepal (Dźaj Nepal)





## DO PIERWSZEJ KRWI

|

Jej sięgająca ziemi suknia, gumka do włosów, obicie złotego tronu, jej stopy i czubki palców u rąk, paznokcie, majtki, skarpetki na zimowe wieczory i noce, ręcznik, nawet szczoteczka do zębów – wszystko jest w kolorze neonowej czerwieni. Jak krew.

Złote są tron, biżuteria i korona; ceremonialną szatę przeplata złota nić. W świąteczne dni nakłada naszyjnik, również złoty, w kształcie węża. Na co dzień pilnują go kapłani, leży głęboko schowany w starych skrzyniach ulokowanych gdzieś w mrokach świątyni. To szczególny naszyjnik ze szczególną mocą, przekazywany nowej Kumari przez tę ustępującą z urzędu. W momencie, gdy go zakłada, zachodzi w niej przemiana, funkcjonuje jak w transie, stapia się z innym wymiarem. Ponoć później niewiele z tych chwil pamięta. To moment bliski doświadczeniu śmierci. Taką energię ma bogini Taleđu. Złoto jest symbolem jej wielkości.

W żyłach Kumari płynie krew bogini śmierci. Gdy straci choć jedną kroplę, uleci z niej boska moc.

Najczęściej jest to krew menstruacyjna.

Z chwilą osiągnięcia dojrzałości płciowej staje się zwykłym człowiekiem. Na nowo.

\*\*\*

W pałacowej komnacie nad wątłym płomieniem świecy pochylają się dwie postacie. Na czerwonej ścianie z cegły padają ich wydłużone cienie. Jest późna noc, księżyc jak hak już dawno wbił się w granat nieba, królewskie małżonki spokojnie chrapią pod pierzynami z kaczyc piór, podobnie jak ich córki i synowie, kapłani, pałacowa służba i liczni poddani. Miasto śpi, Katmandu śni swój sen o szczęśliwym królestwie otoczonym górami. Jak co noc. Tylko straż, jak to straż, wypina pierś, wytęży wzrok, nadstawia uszu, z obowiązku zapewnienia ochrony królowi i jego podwładnym.

Siedzą przy stole. Grają w kości. Słyszą rozmowę, co jakiś czas wybucha salwa śmiechu. Kobieta i mężczyzna. Ona i on, wydawać by się mogło, w trakcie spotkania pełnego flirtu i nadmiernej swobody. Lecz nic bardziej mylnego.

Barczysta postać rzucająca szeroki cień na ścianę to król we własnej osobie, pomimo późnej pory strojny w koronacyjne regalia, kosztowne klejnoty i turban z pawim piórem.

Drugi cień jest inny, niezwykajny, bardziej delikatny, gdzieś w wątlach, w innych partiach natomiast jakby nabrzmiały, zdradzający niewieście krągłości. Dokładnie widać zarys tiary i kolczyki ciężko zwisające z wyciągniętych konch uszu. Raptownie powierzchnię ściany zagarnia cień pięciu par rąk, które owa postać rozpostarła, rzucając kośćmi. Gdy spojrzymy na jej twarz delikatnie oświetloną jakże słabym płomieniem świecy, zachwyci nas jej uroda – piękno, w które można się zapadać w nieskończoność, tracąc zmysły i kontakt ze światem. Jej oczy, patrzące w środek i w dal, wzbudzą strach i zarazem przyniosą spokój. Nieuważne spojrzenie prosto w Trzecie Oko, wyraźnie połyskujące na gładkim czole, zepchnie nas w otchłania obłądzenia. To bogini Taledzu. Bogini śmierci.

Jest naczelnym bóstwem opiekuńczym króla i objawia się, by wesprzeć go w trudnych decyzjach. Przy świecy, we dwoje, pod osłoną nocy rozprawiają o przyszłości kraju. Snują plany, które pęcznią nieokielzanie w miarę wzbogacania ich o kolejne szczegóły. Wielokrotnie wcześniej spotykali się w ten sposób. Lubią swoje towarzystwo. Nie ma w tym flirtu ani romansu. Spokojnie mija czas: dni, miesiące, lata.

Aż pewnego razu króla ogarnęła żądza, która pali do kości. Nie zdołał jej powstrzymać. Stracił nad sobą

kontrolę, rzucił się na piękną Taledź, by ją pochwycić w miłosny uścisk. Złapać, obezwładnić, wykorzystać. Ona się wymknęła, szybka i zwinna, choć ogromnie zaskoczona królewskim gestem. Stało się to, czego najbardziej się obawiała; to, co w żadnym wypadku nie powinno było się zdarzyć – król się w niej zakochał.

Taledź załała fala gniewu. Kto go nie widział, ten nie zdoła sobie wyobrazić jej straszliwego oblicza. Jej oczy, wcześniej łagodne, teraz zapłonęły żywym ogniem. Została poniżona. Dotknięta do żywego. A bóstwa poniżać nie wolno.

Zniknęła.

On błagał o wybaczenie, rzucił się na ziemię i szlochał, bo doskonale wiedział, że bez jej pomocy rządzenie królestwem jest niemożliwe. Straci władzę, zawiedzie swój lud. Wtem usłyszał głos dobiegający z daleka, a choć odległy, to mocny i wyraźny: „Jeśli chcesz mnie jeszcze zobaczyć, wybierz małą dziewczynkę z rodziny buddyjskich Newarów\*, piękną i bez skazy, z trzydziestoma dwoma cechami fizycznej doskonałości. Czcij ją dokładnie tak, jak czcisz mnie. Poprzez nią objawię się tobie, w ten spo-

---

\* Newarowie to rdzenni mieszkańcy Doliny Katmandu – administracyjnego, kulturowego i historycznego centrum kraju. Jedna z większych grup etnicznych Nepalu (około 1,4 miliona osób, co daje prawie 5 procent ogółu populacji). Mówią po newarsku. Są wyznawcami hinduizmu albo – rzadziej – buddyzmu.

sób nadal będę twym wsparciem i podporą. Będzie na tyle mała i dziecięca, abys nie mógł jej zapragnąć. Nazwij ją Kumari”.

\*\*\*

Król z opowieści to historyczny władca Nepalu Jayaprakash Malla, który w połowie XVIII wieku sprawował rządy w Królestwie Katmandu. Taledź, hinduskie bóstwo żeńskie, w Indiach znane pod nazwą Durga lub Kali, jest opiekunką królów i całego narodu, a zarazem boginią śmierci. Do dziś w Nepalu składa się jej krwawe ofiary. Nepalczycy uważają Kumari za jej ponowne wcielenie, jej ziemską reprezentację. Żyją boginkę dziewicę.

Nie wiadomo, kiedy dokładnie zaczęto czcić Kumari. Najprawdopodobniej zbiegło się to w czasie z wybudowaniem dla niej pałacu w 1757 roku. Od tamtej pory kolejne Kumari mieszkają w tym miejscu, będącym zarazem świątynią. Przebywają na piętrze; nie wolno im schodzić na dół ani wychodzić na zewnątrz. W porównaniu z innymi świątyniami, w których stoją sakralne figury, nieruchome prezentacje licznych Kali i Durg, jej dom wypełniają światło i życie. Bo w przeciwieństwie do nich Kumari stworzona jest z krwi i kości, tkanek, ścięgien, mięśni; ma świadomość, swoje potrzeby i prawa; odczuwa ból, radości i smutki. Jest dziewczynką pełną życia, a nie posągami wykutym z szarego kamienia.



Jest panią czasu, początku i końca. Żądną krwi. Krew musi otrzymać, inaczej sama po nią sięgnie, w swoim czasie i na swój sposób. Dlatego lepiej regularnie spełniać jej zachcianki, wychodzić naprzeciw jej oczekiwaniom.

Bawół, baran, kozioł, kaczor, kogut – to pięć gatunków zwierząt składanych w ofierze Taledźu, wyłącznie osobniki płci męskiej. W jej świątyniach stoją pale ofiarne, do których przywiązuje się zwierzęta, po czym jednym sprawnym ruchem, szybkim cięciem ostrego noża khukuri\* odcina im się głowy. Ich krwią oblewane są posągi Taledźu. Ścieka cienkimi strużkami po jej głowie, twarzy, ramionach. Gęsta ciecz powoli kapie z kamiennego nosa. Trwają modlitwy o spokój i bezpieczeństwo, o zdrowie i uniknięcie grzechu.

Kobiety siedzą na macie w rogu świątynnego dziedzińca, mężczyźni są zajęci oprawianiem ofiary, dzieci niczym nieskrępowane biegają boso po mokrej od krwi posadzce, na ziemi zostają czerwone ślady ich stóp, miniaturowe pieczęcie.

Ciepłą krwią ofiarną symbolicznie poi się boginkę. Jelita zwierzęcia są rozwieszane nad wejściem do jej świątyni, poskręcane schną tam przez kolejne miesiące. Korpus zabiera się do domu, a mięso dzieli między członków rodziny bądź całej społeczności, jeśli zwierzę ofiarne było duże i dorodne. To błogosławiony posiłek.

---

\* Ciężki, zakrzywiony nóż używany jako broń sieczna, część uzbrojenia Gurkhów – społeczności wojowników, żołnierzy.

Cały rytuał odbywa się publicznie, na oczach wszystkich, starych i młodych, odarty z hipokryzji. Śmierć jest namacalna i bliska, krew ma swoją konsystencję i zapach, Nepalczykom doskonale znane od dziecka.

W Indiach krwawe ofiary zostały zakazane w okresie kolonizacji brytyjskiej; w Nepalu nadal są częścią tradycji. Najważniejszym świętem, podczas którego masowo rytualnie zarzynają się zwierzęta, jest Dasain\*, na przełomie września i października. To najważniejsze, najdłuższe, bo ciągnące się przez piętnaście dni, rodzinne święto. Ósmego dnia bogini Taledźu manifestuje się w najbardziej agresywnej postaci. O północy na dziedzińcu przed królewskim pałacem w Katmandu jest składana wielka ofiara, z pięćdziesięciu czterech bawołów i pięćdziesięciu czterech kozłów. W jednej sekundzie, ku uciechu Taledźu, na bruk padają odrąbane łby. To dziewiąta noc – Kal Ratri, czyli Czarna Noc. Kumari bierze w niej czynny udział.

Podczas Dasain w Nepalu zarzynają się setki tysięcy zwierząt. Dla Katmandu to specyficzny moment. Miasto na ten czas pustoszeje, zostają tylko jego rdzenni mieszkańcy. W miejsce ludzi pojawiają się za to zwierzęta, nagle są na każdym rogu, sprzedawane na prowizorycznych bazarach. Ludność napływowa rusza na święta do rodzin poza dolinę, z torbami pełnymi podarków i smakołyków.

---

\* W Indiach znane pod nazwą Durga Pudża.

Świąteczny exodus co roku przebiega według tego samego scenariusza.

Scena 1: Ludzie od rana tłoczą się na przystankach, cisną się do wypchanych po brzegi autobusów, walczą o miejsce, przestrzeń zaczyna podlegać redefinicji, wydaje się, że już nikt więcej się nie zmieści, a jednak kolejnych kilka osób ładuje się do środka. W autobusach rozdętych, jakby były z gumy, opuszczają stolicę. Są wszędzie, zwisają z otwartych drzwi, siedzą na dachach, w przejściu, po kilkoro na jednym miejscu. Kierowca dodaje gazu na serpentynach przedgórzy Himalajów. Pasażerowie dzielnie znoszą trudy podróży, tylko co jakiś czas ktoś raptownie wyrazi niezadowolenie, wyrzucając z siebie strugę gorących wymiocin. Wystawione przez okna głowy zdobią boki pojazdu ciepłymi barwami z trzewi.

Scena 2: Jadą wiele godzin. Potem umieszczą tobołki na głowach i pójdą zygzakowatymi ścieżkami do swoich rodzinnych wiosek wysoko w górach, gdzie czekają stęsknieni rodzice. Trzeba się spieszyć, żeby zdążyć do domu na czas. Przed zarżnięciem kozła.

Scena 3: Kilka godzin później te same autobusy wracają pełne do miasta. Na pierwszy rzut oka wyglądają normalnie, piszczą jak zawsze, ciągnie się za nimi czarna chmura spalin, ale jednak coś się zmieniło. Dachy są puste, drzwi szczelnie zamknięte, a na fotelach cisną się kozły. Wyglądają przez okna, przyklejają nosy do szyb, jadą na bazar, gdzie po głośnych targach zostaną sprzedane prosto pod ofiarny nóż.

||

Siedzimy naprzeciw siebie, Rashmila Shakya i ja.

Ona – Nepalka, emerytowane bóstwo, obecnie śmiertelniczka.

Ja – Polka, stworzenie ziemskie, śmiertelniczka od urodzenia.

Siedzimy w salonie w rodzinnym domu Rashmili. Czekamy, aż jej mama przyniesie masala čaj\*. W pokoju stoją dwa fotele i ogromna kanapa, mimo to siadamy na podłodze, na kwiecistym dywanie. Pod ścianą nieduży regał na książki, ale zamiast nich na półkach ustawiono liczne puchary, statuetki, trofea. Jak dowiem się później, te zdobycze świadczą o osiągnięciach sportowych Rashmili i jej rodzeństwa, głównie młodszego brata. Ściany mają smerfowy kolor. Na jednej wiszą portretowe zdjęcia rodziny: w wyższym rzędzie zamknięte w osobnych ramkach oblicza mamy i taty, poniżej sześcioro dzieci państwa Shakya: pięć córek i syn, najmłodszy. W równej linii, blisko siebie. Wszyscy wpatrują się w obiektyw aparatu, przejęci, uchwyceni w momencie sukcesu, w togach, z biretami ozdobionymi chwostem ze złoconej przędzy. Dumni absolwenci, z dyplomem w dłoni.

---

\* Aromatyczna indyjska herbata podawana z mlekiem, dużą ilością cukru i przyprawami: kardamonem, cynamonem, goździkami, imbirem, czarnym pieprzem.

Zdjęcia zostały zrobione pewnie chwilę przed tym, jak grupowo, wszyscy naraz, podrzucili swoje nakrycia głowy wysoko w niebo, na znak wolności.

Sześcioro dzieci państwa Shakya ten moment ma już za sobą.

Zdjęcie Rashmili wisi jako trzecie od lewej, kolejność nieprzypadkowa. Wygląda na nim na szczęśliwą. Jest pierwszą eks-Kumari z tytułem magistra.

Siedzimy naprzeciwko siebie, czekamy na herbatę, dyskretnie rozglądam się po pokoju. Rashmila jawnie mnie obserwuje.

Jesteśmy rówieśnikami, i to chyba, poza czasem i miejscem, w którym przyszło nam się spotkać w smerfowym pokoju jej rodzinnego domu w Katmandu, jedyny łączący nas element. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

– Gdy miałam cztery lata, wybrano mnie na Kumari. Był rok 1984. Konkurowałam między innymi ze swoją o rok młodszą siostrą Samjhaną, ale ona odpadła w przedbiegach, bo dostała wysypki. Całe jej ciało pokryły małe czerwone krostki, co zdyskwalifikowało ją od razu i bezpowrotnie. Tak mówi mama, bo ja nic z tych zdarzeń nie pamiętam – zaczyna Rashmila. – Ponoć zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, ale nie mogła już kandydować na boginkę. Mama mówi, że wolała, by wybrano siostrę, bo ja zaczęłam już chodzić do przedszkola, miałam swoje obowiązki i nie chciała raptownie przerywać mojej kariery. – Śmieje się.

Spośród kilku dziewczynek wybór padł na nią. To jej twarz stała się ziemską twarzą Taledzu, to ją czczono w pałacu przez kolejnych osiem lat. Została odklejona od zwykłego życia, dosłownie i w przenośni. Jej ziemskie funkcjonowanie przeszło w tryb spoczynku, wkroczyła w stan boski. Oderwano ją od rodziny, ulokowano w świątyni. Obleczone w boskie szaty, obwieszono insygniami. Za życia stała się elementem sekretnej hinduskiej tradycji mającej źródło w praktykach tantrycznych. Nepal to jedyne miejsce na świecie, gdzie czci się bóstwo pod postacią żywej osoby – dziecka, dziewczynki, dziewicy.

– Pierwszym kryterium jest pochodzenie. Pochodzę z kapłańskiej rodziny buddyjskich Newarów – ciągnie Rashmila.

Chociaż Kumari jest reinkarnacją hinduskiej bogini, dziewczynka musi pochodzić z rodziny buddyjskiej. To jeden z wyraźniejszych przykładów harmonijnego funkcjonowania dwóch wyznań od wieków obecnych w Nepalu, znak zgody i równowagi: hinduskie bóstwo w ciele buddyjskiego dziecka, czczone przez jednych i drugich.

– Dokładnie przeanalizowano mój horoskop. Musi być zgodny z horoskopem władcy, jako że Kumari sprawuje nad nim opiekę. Nasze życiowe energie muszą się wzmacniać, to bardzo ważne. Kiedy się okazało, że horoskop króla Birendry\* i mój są ze sobą spójne, przeszłam boską kontrolę jakości – dokładnie przeegzaminowano moje ciało. Niewiele z tego pamiętam, w zasadzie tylko tyle, że byłam odświętnie ubrana

---

\* Birendra Bir Bikram Shah Dev – król Nepalu w latach 1972–2001.

i szliśmy gdzieś z mamą, w całkiem nowe miejsce. Mama się denerwowała, cały czas była przy mnie. Znam te zdarzenia jedynie z jej relacji.

Kumari musi się wykazać trzydziestoma dwiema cechami fizycznej doskonałości; są one wyszczególnione w świętych księgach i obecne w opisach postaci Buddy. Ma mieć ciało jak drzewo banianu, gładką skórę bez żadnych przebarwień i blizn, delikatne stopy, długie palce, szyję jak muszla morską, szeroką pierś, policzki lwicy, uda mocne jak u bawołu, zwinne nogi sarny, narządy płciowe osadzone głęboko w miednicy, długie rzęsy jak u krowy, oczy w kształcie migdałów i włosy skręcone w prawą, dobrowróżbną stronę. Ma być zdrowa i ładna, zgodnie z lokalnym kanonem piękna.

– Trudno doszukać się tych cech u czterolatki. Szczególnie że są one podane w tak archaicznej formie. – Rashmila znów się śmieje. – W każdym razie konsylium kapłańskie uznało, że się nadaje. Następnego dnia zamieszkałam w pałacu. Wszystko stało się bardzo szybko: pożegnanie z rodzicami i siostrami, nowy dom, nowe miejsce, nowi ludzie. Byłam mała, nie wiedziałam, co się dzieje. Nikt mi też specjalnie nie tłumaczył, o co w tym wszystkim chodzi. Nie pamiętam, żebym tęskniła za rodzicami. W pałacu byłam pod opieką rodziny, która z dziada pradziada zajmuje się kolejnymi Kumari. Mieszkają tam, to ich rodzinny dom, trzy pokolenia pod jednym dachem. Są urzędnikami państwowymi, a ich praca polega na służeniu boginie – zaznacza. – Dość nietypowy zawód! Musieli dbać o to, żeby nic mi się nie stało, żebym uczestniczyła

w codziennej pudzi i religijnych festiwalach, żebym była odpowiednio ubrana i uczesana. Spełniali wszystkie moje zachcianki. Nie spuszcza mi z oczu, nawet w nocy. Zawsze ktoś spał ze mną w pokoju, ja na łóżku, a didi\* na podłodze.

Rashmila gładko przeszła z jednej rodziny do drugiej. Ich dzieci stały się jej nowym rodzeństwem, tylko na nieco korzystniejszych dla niej zasadach: nie mogły jej dokuczać, bić, kłócić się z nią, musiały jej we wszystkim ustępować. To ona decydowała, kiedy chce się bawić, a kiedy ma ochotę побыć sama. Musiały czekać na jej zaproszenie. Miała nad nimi przewagę, bo była boginką.

– Wykorzystywałam to – przyznaje Rashmila. – Często kazałam im stać i całymi godzinami podziwiał, jak tańczy. Uwielbiałam tańczyć. Musiało je to koszmarnie nudzić. Kiedy oglądaliśmy telewizję, siedziałam najbliżej odbiornika, nikt nie mógł mi zasłaniać. Chyba od tego siedzenia za blisko ekranu mam dzisiaj wadę wzroku. – Rashmila nosi okulary. Wskazuje na nie, przesuwając je na nosie i śmieje się, wspominając dzieciństwo. – Lubiłam się z nimi bawić. Gdy wychodziły do szkoły, czułam się samotna. Bawiłam się lalkami i z naszym pałacowym psem. Czekałam na ich powrót.

Biologiczna rodzina może odwiedzać Kumari, ale tylko w wyznaczonych porach, kiedy słońce jest wysoko na niebie. W pierwszych tygodniach zaleca się zaniechania kontaktu

---

\* Starsza siostra. Słowem tym określa się również trochę starszą dziewczynę, koleżankę, niekoniecznie rodzoną siostrę.

z córką, żeby ułatwić jej adaptację do nowej sytuacji. Później najlepiej, żeby kontakt był rzadki i dość formalny. Opiekunowie Kumari robią wszystko, żeby dziecko jak najszybciej zapomniało o domu.

– Do tej pory opiekowałem się sześcioma Kumari. One się zmieniają, a moja rodzina tutaj zostaje. Staram się do nich nie przywiązywać – mówi Gautam Shakya. – Kumari to małe dziewczynki, więc musimy być bardzo uważni, otoczyć je ciepłem, stworzyć im dobre warunki. Jeśli czują się bezpieczne, są w centrum uwagi, to szybko się do nas przyzwyczajają. Nigdy nie płaczą, nie wołają mamy. Nie wolno im tego robić, nie są przecież zwykłymi dziećmi. Jako boginie nie mogą okazywać takich emocji.

– Kiedy odwiedzaliśmy Rashmilę, traktowaliśmy ją jak bóstwo. Byłem dumny, że moja córka została Kumari – deklaruje jej ojciec.

Matka dodaje:

– Już chodząc z nią w ciąży, czułam, że dzieje się coś wyjątkowego. Urodziłam boginkę. Gdy widziałam Rashmilę w pałacu, myślałam, że nie mam już prawa do tego dziecka, że nie jest już moją córką, przychodziłam na spotkanie z bogiem. Nie mogłam jej mówić, jak bardzo za nią tęsknię. Chciałam ją chronić przed niepotrzebnymi emocjami. Została stworzona do wyższych celów. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko to zaakceptować.

– Mój dzień? Mijał zupełnie normalnie – mówi Rashmila.  
– Jeden bliźniaczo podobny do drugiego. Wtedy wydawało

mi się, że żyję zwyczajnie. Dopiero w wieku ośmiu, może dziewięciu lat uświadomiłam sobie, kim jestem, że nie funkcjonuję jak inne dzieci. Wstawałam wcześniej. Didi pomagała mi się umyć, ubrać, robiła makijaż, czesała włosy. Upinała je w ciasny kok na czubku głowy, codziennie taki sam. Ciągnęła mocno, żeby złapać wszystkie kosmyki.

Potem szłam do kuchni. Lubiłam poranki, bo tylko przy śniadaniu mogłam mieć towarzystwo. Wszystkie późniejsze posiłki, ze względu na to, że karmiono mnie głównie gotowanym ryżem, który jest czysty rytualnie, musiałam jeść w samotności, w oddzielnym pomieszczeniu. Około godziny dziewiątej była odprawiana poranna ceremonia, w której uczestniczyłam tylko ja i kapłan ze świątyni Taledzu. Szłam do pokoju modlitwy, siadałam na swoim złotym tronie, brahmin klękał przede mną na podłodze i składał mi w ofierze kwiaty i ryż, kłaniał się do moich stóp. Nie mógł dotykać innej części mojego ciała – ani on, ani żaden mężczyzna. Wykonywał ciąg modlitewnych gestów, po cichu odmawiał mantry. To wiedza tajemna i nawet ja nie mogłam ich usłyszeć. W ten sposób oddawał mi cześć. Cała ceremonia trwała jakieś piętnaście minut. Odbierałam to jak coś zupełnie naturalnego, byłam przyzwyczajona, poza tym zdecydowanie za mała, by się nad tym zastanawiać. Nie protestowałam, nie nudziłam się, nie czułam zażenowania. Kiedy siedziałam na tronie, zastygałam w bezruchu, nie miałam nad tym kontroli. Do pewnego momentu myślałam, że w każdym domu poranek wygląda w ten sposób.

Potem przychodził nauczyciel. Miał dla mnie tylko godzinę. Najczęściej kazał mi liczyć w pamięci. Spotkania z nim mnie nudziły, nie lubiłam go, był stary i bez energii. Niczego mnie nie nauczył. Ale w sumie miałam szczęście, że w ogóle przychodził. Przecież bóstwa są nieomyłne i wszechwiedzące, nie ma więc potrzeby kształcić Kumari. Poza tym pokutuje przekonanie, że ten, kto podejmie taką próbę, umrze. On nie wyglądał na przestraszonego. Nasze spotkania ciągle były przerywane przez wizyty wiernych. Do moich obowiązków należało udzielanie im błogosławieństwa. Wracałam do pokoju modlitwy, żeby się z nimi spotkać. Często przychodziły do mnie matki z chorymi dziećmi, prosząc o ich uleczenie. Robiłam to.

W wolnych chwilach bawiłam się lalkami, biegałam po pałacowych korytarzach, wyobrażałam sobie, że jestem księżniczką uwięzioną w wysokiej wieży. Przez okno wypatrywałam swojego księcia. Musiałam to robić dyskretnie, nie mogłam się wychylać, nikt z ulicy nie mógł mnie zobaczyć. Moja prywatność była strzeżona. Interesowali mnie ludzie, potrafiłam wgapić się w nich godzinami, w ten gęsty tłum na Durbar Square w Katmandu: każdy robił coś innego, każdy dokądś zmierzał. Zastanawiałam się, kim oni wszyscy są, jak żyją, czy czują się szczęśliwi i czemu oni są na zewnątrz, a ja nie.

Kiedy było mi smutno, patrzyłam na świątynię naprzeciwko mojego pałacu poświęconą Śiwie i Parwati\*. Ich

---

\* Hinduska bogini, małżonka Śiwy, reprezentująca naturę i wszystko to, co jest jej wytworem. Jako przejaw żeńskiej energii Śiwy symbolizuje jego potęgę

drewniane posągi stoją w oknie, Śiwa ramieniem obejmuje małżonkę. W sumie to tak, jakby obejmował mnie, myślałam, przecież jestem jej reinkarnacją. Patrzyłam na nich i pocieszałam się, że utknęli w jeszcze większej pułapce, bo nie mogą nawet odejść od okna.

W życiu i pałacu Rashmili było jeszcze jedno okno. Do tego podchodziła mniej chętnie.

To okno z drewna tekowego wychodzące na wewnętrzny dziedziniec, zdobione rzeźbieniami przedstawiającymi demony: mają wydęte policzki, rozpostarte ręce, gniewne twarze. Okno wyjątkowe, zwracające uwagę, piękne i centralnie ulokowane na głównej ścianie pałacu.

Nie widać z niego ulicy, królewskiego placu Katmandu z dwudziestowiecznym pałacem i wielokondygnacyjnymi świątyniami. Nie widać sklepów, herbaciarni, sprzedających pocztówki kobiet w kolorowych kurtach. Nie widać dziewczynek z pobliskiej szkoły skaczących przez zwiotczalą gumę ani riksarzy czekających na klientów na rowerach fantazyjnie ozdobionych sztucznymi kwiatami, handlarzy starociami ani niczego, w co Rashmila lubiła wpatrywać się godzinami. Nie widać stamtąd krzątający miasta, ruchu i pędu, zwykłego życia.

---

stworczą i destrukcyjną jednocześnie. Jest najwyższym bóstwem niektórych kultów tantrycznych. Czczona pod różnymi postaciami: Kumari (dziewczynka dziewczica), w agresywnej emanacji Durga (Niedostępna, w Nepalu nazywana również Taledźu) bądź bogini śmierci Kali (Czarna) itd., w zależności od wyobrażeń jej wyznawców oraz regionu.

Widać z niego jedynie wewnętrzny dziedziniec i gromadzących się na nim ludzi, ale ci są jacyś dziwni, choć bardzo różni, to jednak zawsze dziwni. Jedni ubrani w ciężkie trekkingowe buty, przeciwdeszczowe spodnie i puchowe kurtki, jakby właśnie dokonywali szczytowego ataku na Mount Everest. Inni mają maseczki ochronne na ustach i starannie wyprasowane białe bawełniane szaty zakrywające każdy milimetr ciała. Jeszcze inni noszą wypłowiałe szarawary, które kiedyś miały jakiś konkretny kolor, dziś jednak zostało po nim mgliste wspomnienie, wątle ciżemki z pojedynczego rzemienia na stopach, dziurawy T-shirt z wizerunkiem świętej krowy i włosy, delikatnie mówiąc, w nieładzie – ci wyglądają jak włóczędzy. Różnią się kolorem skóry, włosów, nawet oczu, i mówią obcymi językami. Lecz choć wyglądają rozmaicie, wszyscy zachowują się tak samo. Widać, jak zadzierają głowy do góry, wgapiają się w okno na piętrze, to ulokowane centralnie; wisi w nim energooszczędna żarówka. Patrzą uważnie, nie spuszczaają z niego wzroku, żeby nie przegapić błogosławieństwa. Nagle słyszą wyraźną komendę, by odstawić aparaty, wyłączyć, przewiesić przez ramię. Nie wolno robić zdjęć. Bezwzględny zakaz fotografowania boginki.

Dziewczynka w czerwonych szatach podchodzi do okna, ma włosy upięte w kok na czubku głowy, wyraźny makijaż. Twarz nie wyraża żadnych emocji. Omiata spojrzeniem zebranych na dziedzińcu jej domu ludzi. Patrzy na nich pustym, lekko znudzonym wzrokiem, po czym chowa się w ciemności pałacowej komnaty. Spotkanie trwa zaledwie kilkanaście

sekund. Goście niespiesznie opuszczają dziedziniec, wtapiają się w chaos miasta. Ona zostanie w pałacu na cały dzień, noc i dzień kolejny. Jeszcze na kilka lat.

Ja też wiele razy stałam na tym placu.

Rashmila nie lubiła tych spotkań. Z reguły kilkanaście razy dziennie musiała przerwać zabawę i podejść do okna. Porzucić swoje lalki, zostawić psiaka, którego właśnie drapała po miękkim brzuszku. Podejść do okna i pobłogosławić turystów – ludzi, którzy zetknęli się z jej historią po raz pierwszy w życiu i odbili się od niej pełni niezrozumienia i osądów. Czasami zastanawiała się, skąd pochodzą, czemu wyglądają inaczej niż wszyscy wokół, czy nie mają boginek w swoim kraju.

Noc jest spokojna. Na niebie połyskuje ławica gwiazd. Jasny księżyc rozprasza cienie kryjące się u podnóży świątyń. Wyostrza kontury pałacowego budynku i garstki ludzi zgromadzonych na placu. Przełom września i października to w Katmandu czas wyjątkowo przyjemny. Już ustały letnie upały i obfite monsunowe deszcze. Wilgoć wycofuje się z powietrza, ustępując miejsca suchości. Zima jeszcze nie zdążyła się rozgościć, dopiero w oddali widać jej nieśmiałą zapowiedź. Powietrze jest przejrzyste i nareszcie po długich miesiącach zniknęła ciężka zasłona szarych chmur, odsłoniła Himalaje.

W pałacu Kumari jeszcze nikt nie śpi. Noc wypełniają modlitwy. Trwa Dasain, dziś dziewiąta świąteczna noc – Kal Ratri.

Kumari tej nocy wygląda inaczej. Do czoła pokrytego czerwonym proszkiem przyklejono złote oko. Trzecie oko o ogromnej sile. Szyję boginki oplata wężowy naszyjnik.

Zaledwie trzynaście razy do roku, podczas różnych świąt religijnych, Kumari może opuścić pałac. Jest wynoszona na rękach, sadzana na palankinie bądź w swojej karocy i obwożona po mieście. Ceremonie zawsze odbywają się za dnia, tylko ten moment jest inny. Miasto spowijają ciemności, jest cicho, chłodno, tajemniczo. To jedyny czas w roku, kiedy boginka na własnych nogach może przejść krótki dystans trzystu metrów dzielących pałac od głównej świątyni Taledżu. Idzie powoli, chwiejnie, nieprzyzwyczajona do tej zwykłej czynności. Ma bose stopy pokryte czerwonym barwnikiem. Stąpa po białej tkaninie pieczołowicie rozścielonej na całej trasie. Nie może dotknąć gołej ziemi.

Po wyjściu za próg swojego domu zaczyna uważnie się rozglądać. Nieczęsto ma okazję do takich obserwacji. Idzie wzdłuż frontowej ściany królewskiego pałacu wybudowanego na wzór tych europejskich, ogromna budowla z jońskimi kolumnami pokryta białym gipsem jaśniej w świetle księżyca jak wielka zjawa. Na lewo rozciąga się las świątyń, pagód, wielokondygnacyjnych sanktuariów z posągami bóstw z hinduskiego panteonu. Kumari powoli dochodzi do Hanuman Dhoka, bramy starej części pałacu, i stojącej tuż obok figury Hanumana – boga małpy, opiekuna rodziny królewskiej i kawalerów. Naprzeciwko wznosi się świątynia, na jej wspornikach znajdują się erotyczne rzeźby, które według lokalnych





wierzeń mają chronić przed uderzeniem pioruna; teraz śpią na nich gołębie. Zadziera głowę, chce im się przyjrzeć, ale są za wysoko. Niewiele widzi, idzie dalej. W końcu zatrzymuje się przed świątynią wyniesioną ponad inne: wyższą, większą, otwieraną tylko raz w roku, właśnie w tę noc. To główna świątynia miasta dedykowana bogini Taledźu. W tym momencie wybija północ.

Kal Ratri, Czarna Noc. Zgodnie z mitologią to właśnie tego dnia bogini śmierci zwyciężyła demona Mahiszasurę, który przybrawszy postać wielkiego bawołu, wprowadzał terror w krainie bogów. Siłą swoich licznych rąk Durga (Taledźu) zdołała odciąć mu głowę. Co roku to wielkie zwycięstwo dobra nad złem świętuje się, składając wybawczyni krwawe ofiary. Na bruk padają odrąbane koźle i bawole łby. Późnym wieczorem na jednym z pałacowych dziedzińców w Katmandu życie oddaje sto osiem zwierząt.

Teraz ich łby leżą już w świątyni. Tworzą krąg. Ociekają krwią. We wnętrzu panuje półmrok, pali się tylko kilka świec. Wchodzi Kumari w towarzystwie garstki najwyższych rangą kapłanów. Ceremonia trwa kilka godzin, niemal całą noc. Dziewczynka uczestniczy tylko w jej skromnej części, tej najbardziej tajemnej, pełnej magii, sekretnych gestów i mantr.

Nikt spoza ich wąskiego grona nie zna tak naprawdę scenariusza tej ceremonii, nie wie, co dokładnie dzieje się w świątyni. Ta noc jest pełna sacrum i tantry, a te dwa słowa wszystkim skutecznie sznurują usta, wszelkie pytania pozostawiając bez odpowiedzi. Relacje kolejnych Kumari są mętne

i niepełne. Rashmila też nie potrafi wskazać szczegółów. Pamięta tę noc jak przez mgłę, chociaż uczestniczyła w niej co roku przez kolejnych osiem lat. Twierdzi, że nigdy nie bała się całej tej inscenizacji, że ciemność, późna pora i odrąbane bawole łby nie robiły na niej wrażenia. Przecież miała na sobie węzowy naszyjnik, jej serce tłoczyło boską krew, w stanie wyższej świadomości nie miała szans na zwykłe emocje.

Gdy była Kumari, nigdy się nie bała. Lęk w niej nie kiełkował, nie zapuszczał korzeni. Była na niego odporna.

W jej późniejszym życiu miało się to zmienić.

Najczęściej ceremonia Kal Ratri jest pierwszą posługą nowo wybranej Kumari. Kilkuletnie dziecko zaczyna swoją boską przygodę od najtrudniejszej próby.

Tak wyglądała też inicjacja Rashmili.

252 288 000 sekund

4 204 800 minut

Tyle czasu musiało upłynąć, zanim Rashmila wróciła do domu.

W tym czasie: nie przebywała na wygnaniu, nie została porzucona, nie była zdegradowana, niechciana, pozbawiona opieki, nie żyła w lęku, o pustym żołądku, w chłodzie, na ulicy, nikt jej nie robił krzywdy, nie szykanował, nie obrażał, nie kaleczył, nie brał siłą, nie wykorzystywał do pracy.

70 080 godzin

2 920 dni

Przez ten czas była: czczona, kochana, wynoszona na piedestał, stawiana za wzór, malowana, czesana, ubierana, całowana po stopach, otoczona opieką i miłością.

Była boginką.

Sekundy przeradzają się w minuty, te w godziny, dni, tygodnie, w końcu miesiące i lata. Kumari ma czas. Nie musi się spieszyć.

417 tygodni

96 miesięcy

8 lat

W ich trakcie można: przyzwyczać się do bieżącej sytuacji, umościć się w niej, nie oczekiwać zmian, nie chcieć ich. Szczególnie gdy się jest dzieckiem.

Rashmila ich nie chciała.

Z każdym ruchem wskazówek zegara los nieubłagalnie zbliżał ją do ponownego stania się człowiekiem. Tik-tak, tik-tak, tik-tak... Powolna transformacja „z boginki w śmiertelniczkę”.

W tym czasie Rashmila jeszcze nie wiedziała, że już jako dorosła kobieta napisze książkę o tym właśnie tytule. Że czas przyniesie zmiany.

Tego dnia obudziła się w pokoju pełnym słońca. Pośłanie na ziemi było puste, bo didi wstała chwilę wcześniej, żeby przygotować dla niej kąpiel i śniadanie. Jak zwykle. Jeszcze trochę

poleżała w łóżku, zaciągnęła kołdrę wysoko na nos, próbowała uchwycić sen, który nieśmiało majaczył pod powiekami. Była spokojna, w dobrym nastroju. Jeszcze nie wiedziała, że tego dnia koniec spotka się z początkiem. Że dokona się przejście.

Kąpiel przebiegła jak zawsze, wykonano regularny makijaż, śniadanie zjadła w towarzystwie rodziny opiekunów. Zwyczajnie. Dostała nową sukienkę, oczywiście długą do ziemi, jaskrawoczerwoną. Nie wzbudziło to jej podejrzeń, bo wielokrotnie podczas tych ośmiu lat dostawała nowe stroje. Jak każde dziecko szybko wyrastała z ubrań. Przyszedł bramin, by odprawić poranną pudżę. Jak co dzień zasiadła na węzowym tronie. Tylko dzieci opiekunów od rana wyraźnie się do niej garnęły, jakoś bardziej niż zwykle, ale nie zwróciła na to uwagi. Zabawę przerwało nadejście rodziców.

Sprowadzono ją na dół, co ją zdziwiło, bo przecież nie może tam schodzić! Wyprowadzono na zewnątrz. Jak to? Przecież jej nie wolno być poza pałacem w zwykły dzień! Nie było palankinu ani karocy, nawet białej tkaniny na ziemi, kazano jej wyjść za próg. Na ziemię?! Zrobiła parę kroków. Stąpała po ziarenkach piasku, które wbijały się w jej delikatne stopy, były ostre jak brzytwa. Chciała wrócić do środka. Powstrzymano ją. Sprzeciwiono się jej? Jakim prawem?! Tata wziął ją za rękę i pociągnął do przodu. Obok szła mama, za nią siostry i brat. Opiekunowie zostali w pałacu. Zalękniona odwracała głowę, żeby nie stracić ich z oczu. Nie chciała odchodzić. Nie wiedziała, co się dzieje. Wrywała się, ale tata

trzymał ją mocno. Wierzyła nogami. Chwytał mocniej. Cała się wiała i gięła, w coraz większej hysterii. Zaciśnięła rękę na jej nadgarstku. Poprowadził w obcy świat.

Jeszcze przez cztery dni do jej rodzinnego domu przychodził kapłan i odprawiał pudzę.

Jeszcze przez cztery dni była czczona i obsługiwana. Miała na sobie czerwone szaty, makijaż i włosy uczesane w kok na czubku głowy. Spała w oddzielnej izbie.

Jeszcze przez cztery dni uchodziła z niej moc, boskość bladła, powoli Kumari płowiała na rzecz Rashmili.

Po czterech dniach została wyłącznie Rashmila.

Przyszedł bramin, odprawił ostatnią ceremonię, odebrał jej tożsamość i insygnia Kumari (biżuterię, czerwone szaty). Na jej miejsce została wybrana nowa dziewczynka z rodziny buddyjskich Newarów, o trzydziestu dwóch cechach fizycznej doskonałości. Trzeba było jej oddać cały boski osprzęt.

Stan boski i ludzki to dwie różne orientacje. Pałac i dom to dwa różne światy. Dokonało się przejście z jednego świata do drugiego. Skok z jednego życia w inne. Bezwzględnie i bez powrotu. Jednorazowy zwrot, bez możliwości zmiany planów. W każdym z nich panowały inne zasady, ustawiono inną scenografię, zaprojektowano inne stroje, na nowo rozpisano role.

Rashmila powoli miała uczyć się scenariusza. Przychodziło jej to z wielkim trudem.

W rodzinnym domu czuła się jak w obcym miejscu; rodzice – mimo że widywała ich podczas wizyt w pałacu – byli obcymi ludźmi. Jeszcze długo nie umiała powiedzieć do nich „mamo” i „tato”. Dzień miał inny rytm i inne zabarwienie. Nocą przeszkadzał jej tłok, bo spała w pokoju z resztą rodzeństwa. Nie wiedziała, kim jest, straciła punkt odniesienia. Nie wiedziała, co ma robić. Po raz pierwszy dopadł ją strach.

Przez kilka pierwszych tygodni w ogóle nie wychodziła z domu. Świat zewnętrzny wydawał się kolczasty, obcy i nieodgadniony, wzbudzał niepokój. Poza tym nigdy tego nie robiła, więc czemu teraz miałaby chcieć.

Powoli rodzice zaczęli zabierać ją na krótkie spacery, pierwsze wycieczki za miasto, ku skrawkom zieleni. Choć były trudną próbą, polubiła je, wszystko wkoło okazywało się nowe i ciekawe, ale źle znosiła je fizycznie. Miała problemy z chodzeniem, bo przecież dzieciństwo w pałacu upłynęło jej bez żadnej aktywności fizycznej. Chodziła pomalutku, koślawo, niepewnie. Jako Kumari nigdy nie czuła bólu, nigdy nie była chora, nie miała kataru ani wysypki. Nigdy nie odczuwała żadnych niedogodności fizycznych. Nigdy! Teraz było inaczej. Pierwsze kroki – strach. Pierwsza para butów – odciski. Pierwszy spacer – przeszywający ból całego ciała, głównie nóg, w konsekwencji zakwasy. Pierwsza przejażdżka autobusem – wymioty, ośpienie, ból głowy. Źle się czuła w tłumie, źle na otwartej przestrzeni, źle w palącym słońcu, źle w strugach deszczu. Jej ciało źle reagowało

na bombardujące je zewsząd bodźce, całą masę bodźców, których do tej pory nie miała. Potrzebowała czasu, żeby się wzmocnić, przyzwyczaić do przyjęcia nowego świata – w pędzie, w tłumie, chaotycznego, hałaśliwego, pełnego wyzwania.

Emocjonalnie wzmacniała się jeszcze wolniej. Była apatyczna i smutna. Wielokrotnie podczas sobotnich spacerów z rodzicami po Durbar Square, gdzie stoi pałac Kumari, uciekała do dawnego domu. Początkowo ją zatrzymywali, z czasem zrozumieli, że muszą pozwolić jej iść. Wiedzieli, że nic jej tam nie grozi. Najpóźniej po kilku dniach rodzina opiekunów przyprowadzała ją z powrotem do domu. W końcu przestała się wrywać. Pożegnała się. Tęsknota powoli słabła.

Rodzice i rodzeństwo Rashmili uparcie tkali nić, pajęczną nić rodzinnych powiązań, uczuć, zależności. Była zbyt delikatna – rozrywała się wielokrotnie. Tkali od nowa, w skupieniu, sumiennie, konsekwentnie. Cierpliwie czekali na całkowity powrót córki. Otoczyli ją miłością.

Trzy miesiące po powrocie tata zorganizował spotkanie z jej poprzedniczką. Myślał, że może konfrontacja z kimś, kto przeszedł tę samą drogę, podniesie ją na duchu. Że dziewczyny się zaprzyjaźnią, będą wspominać dawne czasy, w końcu obie wróciły z bardzo daleka. Tak sądził pełen troski. Mylił się. Starsza o sześć lat Anita Shakya w momencie spotkania z Rashmilą była już pełnoletnia, od ośmiu lat miała status śmiertelniczki.

Usiadły w salonie u Anity w domu, dwie eks-Kumari na jednej kanapie. Grał telewizor. Rozmowa się nie kleiła,

w zasadzie w ogóle jej nie było. Rashmila obiegła wzrokiem cały pokój, zlustrowała każdy kąt i każdą fałdę zasłony, przeanalizowała zdjęcia wiszące na ścianach i wzór na dywanie. Cisza. Obie nie umiały rozpocząć konwersacji. Obu niespecjalnie na tym zależało. Cisza. Wypiły herbatę, pogapiły się w tańczące na ekranie nepalskie piękności. Minęło może czterdzieści minut, po czym przeniosły się do pokoju Anity. Na stoliku obok łóżka pod lustrem i lampką w równym rzędzie ustawiono kolekcję lakierów do paznokci. Była ogromna, mnóstwo lakierów w dziesiątkach barw, matowych, błyszczących, z drobinami brokatu... Anita sięgnęła po jeden z nich, w kolorze dojrzałych jagód. Sprawnym ruchem przeciągnęła pędzelkiem po płytce paznokcia. Powtórzyła tę czynność kilkanaście razy, aż jagodowym płynem pokryła wszystkie dziesięć paznokci palców u rąk. Odczekała chwilę, aż lakier wyschnie. Cisza. Sięgnęła po kolejną buteleczkę, z wprawą zaczęła ozdabiać płytki żółtymi kropkami, potem białymi, te miały już kształt łezki, aż powstał florystyczny dekor. Widać było, że robi to enty raz. Miała zadbane dłonie, długie wypielęgnowane paznokcie. Cisza. Na stoliku pod lustrem stały też inne kosmetyki, cała drogeria. Gdy Rashmila spytała, co Anita robi całymi dniami, w odpowiedzi padło krótkie: nic. Czy wychodzi z domu? Nie. Co lubi robić najbardziej? Malować paznokcie. Cisza.

Anita po opuszczeniu pałacu próbowała pójść do szkoły, ale nie czuła się tam dobrze. Zrezygnowała. Nie chciała się uczyć. Jej rodzice nie nalegali. Bardzo rzadko wychodzi

z domu, bo w sumie dokąd. Nie chce pracować. Woli zostać w swoim pokoju, malować paznokcie i oglądać telewizję. Znowu zapadła cisza, tym razem nikt nie przerwał jej zbędnymi pytaniami. Rashmila wiedziała już wszystko. Anita dalej tworzyła kwieciste wzory, miała na paznokciach już całe ogrody, była w swoim żywiole. Rashmila zatopiła się w myślach, po raz pierwszy w życiu zaczęła konstruować plany na przyszłość – nieśmiało i bez rozmachu, ale z pewnością, że świat manicure i kolorowych lakierów nie stanie się jej udziałem. Czekala, aż przyjdzie tata i zabierze ją do domu. Gdy tylko zostali sami, oznajmiła, że jest gotowa, chce tak jak siostry iść do szkoły i nawiązać nowe przyjaźnie. Tata wziął ją na ręce. Przytulił.

Granatowa plisowana spódniczka. Biała bluzeczka z krótkim rękawkiem zapinana na białe guziki. Włosy uczesane w dwa warkoczki, kruczoczarne i lśniące od kokosowego olejku, związane czerwona wstążką. Przyduże buty, podkolanówki do połowy łydki. I już. Jeszcze tylko kanciasty tornister związający nisko, odbijający się od pośladków, ciężki od czystych zeszytów, naostrzonych ołówków, książek i obaw, że nic się nie uda.

Chociaż wstała wcześniej, żeby wyszykować się na pierwszy dzień szkoły, wybiegła z domu spóźniona, ponaglana krzykiem młodszej o pięć lat siostry. Po raz pierwszy miała na sobie spódniczkę krótszą niż do ziemi, zasłaniającą nogi tylko do kolan. Czuła się w niej naga. Spuściła ją nisko na

biodra, mocno zacisnęła pasek, z trudem naciągnęła podkolanówki na kolana, wsunęła stopy w buty – na szczęście do nich zdążyła się już przyzwyczaić.

Wreszcie wyglądała tak samo jak inni. No, prawie! W małej salce czterdzieścioro dzieci w szkolnych mundurkach – chłopcy z granatowymi krawacikami, dziewczęta z kokardami we włosach – gramoliło się w ławkach. Rozejrzała się po sali. Wszyscy biegali, rzucali tornistrami, byli swobodni, śmiali się. Nią targaly inne emocje. Gdy do sali weszła nauczycielka, wstali, by ją powitać. Rashmila w porównaniu z resztą była wielka jak Himalaje i w przeciwieństwie do innych skostniała ze strachu. Trafiła do drugiej klasy z siedmiolatkami. Ona miała dwanaście.

W ławce obok siedziała jej młodsza siostra Sunila. Teraz próbowała ją wesprzeć ciepłym spojrzeniem.

Nauczycielka oznajmiła zebrany, że w klasie jest nowa uczennica. Powitali ją piosenką – o czerwonym rododendronie, spienionej wodzie porywistych rzek i ryżu zieleniącym się na tarasowych polach. Zrobiło się ciut bardziej swojsko. Zapytana o imię, wbijając wzrok w ziemię, jakby chciała przezwiercić się na drugą stronę globu, wątłym głosem odpowiedziała: Kumari. Świeckie imię wyleciało jej z głowy.

Pierwsze zadanie domowe z angielskiego polegało na wypisaniu dziesięciu kolorów.

„Czerwony, złoty, czarny, żółty” – wysmarowała w zeszyte Rashmila. Ołówek przyciskała tak mocno, że w kartce

zrobiły się dziury. Zaciskała wargi. Była ambitna. Dopiero uczyła się łacińskiego alfabetu. Litery stawiała duże, niezgrabne. Napisanie tych czterech koślawych wyrazów zajęło jej całą wieczność. Próbowwała znaleźć w głowie kolejnych sześć barw, najpierw po nepalsku, potem w języku angielskim. Bez skutku. Pobiegła z prośbą o pomoc do sióstr, jedna przez drugą zaczęły wykrzykiwać całą gamę kolorów; gdy padło hasło „różowy”, wszystkie osłupiały, widząc, że Rashmila nie wie, jak ten kolor wygląda. Dziewczynki zanosily się śmiechem, uznały, że jest jedyną dwunastolatką na świecie, którą ominęła faza fascynacji różem.

– Gdy opuszczałam pałac, byłam praktycznie analfabeta – przyznaje Rashmila. – Mówiłam po nepalsku, potrafiłam rozpoznać kilka znaków, z pisaniem szło mi ciężko. Łacińskiego alfabetu nie znałam w ogóle. Po angielsku dukałam kilka słów. Umiałam liczyć, bo z liczenia w pamięci nauczyciel przychodzący do pałacu szkolił mnie praktycznie codziennie. Mam ścisły umysł, matematyka zawsze była moją mocną stroną. Za moich czasów Kumari nie miała prawa do edukacji. Godzina zajęć dziennie to zdecydowanie za mało, tyle co nic. Gdy zaczęłam chodzić do szkoły, byłam w klasie z dziećmi o połowę młodszymi ode mnie. Przeżyłam koszmar, ale nie było wyjścia, nic nie umiałam, nie wiedziałam, jak się zachować w grupie, nie potrafiłam się skupić, bo nigdy wcześniej nie siedziałam na lekcjach. Musiałam ciężko pracować, zaliczałam dwa lata nauki w rok, aż dojrzałam do dziesiątej klasy, po której zdałam egzamin

SLCE\*. Potem skończyłam college i poszłam na studia. Chciałam być architektem, ale nie miałam aż tak dobrych wyników, poza tym to drogie studia i moich rodziców nie było na nie stać. Staralam się o stypendium, ale go nie otrzymałam. Od rządu nie dostałam żadnej pomocy. Studiowałam informatykę, najpierw zrobiłam licencjat, potem studia magisterskie. Od kilku lat pracuję jako programistka.

Choć Rashmila zdobyła wyższe wykształcenie jako pierwsza z grona emerytowanych Kumari, nie ma zwyczaju się tym chwalić. Teraz też pomija ten szczegół.

– Kumari bardzo dużo poświęca, przez całe dzieciństwo jest na służbie państwu i tradycji. Państwo powinno o nią odpowiednio zadbać. Przede wszystkim należy kształcić Kumari w pałacu, powinna mieć dostęp do publicznej edukacji, równoległe z rówieśnikami zdawać egzaminy, mieć dostęp do internetu, żeby po wyjściu z pałacu miała takie same kompetencje jak dzieci w jej wieku – wymienia, po czym zaznacza, że dzięki jej walce, a także wysiłkom jej rodziców i rodziców jej następczyni wszystkie te zmiany zostały wprowadzone.

W Nepalu nadal nie ma obowiązku nauki wczesnoszkolnej. Powszechna edukacja została wprowadzona w latach pięćdziesiątych, ale dopiero dzieci z pokolenia Rashmili miały swobodny, choć nie bezpłatny do niej dostęp. Z nadejściem lat osiemdziesiątych szkolnictwo dla dzieci obojga

---

\* School Leaving Certificate Exam – egzamin na koniec nauki wczesnoszkolnej, po dziesięciu latach edukacji. Można go porównać do naszej matury.

płci stało się powszechne. Jednak boginki na zmiany musiały poczekać trochę dłużej.

– W czasach mojej boskiej kadencji ani ja, ani moi rodzice poza nobilitacją społeczną nie otrzymaliśmy żadnych profitów. Dzisiaj jest inaczej. Kumari ma konto w banku, na nie co miesiąc rząd wpłaca pieniądze, z których będzie mogła skorzystać po uzyskaniu pełnoletności, czyli w wieku osiemnastu lat. To trzy tysiące siedemset rupii nepalskich, czyli około trzydziestu siedmiu dolarów\*. Po przejściu na emeryturę dalej otrzymuje te pieniądze, dożywotnio, dotyczy to każdej z nas, każdej żyjącej eks-Kumari. To nowe regulacje i choć wyceniono nas nisko, i tak się cieszę, bo wcześniej dostawałam tylko trzysta rupii.

Trzy tysiące siedemset rupii na miesiąc w dzisiejszym Katmandu to niewiele, kwota wręcz symboliczna, która przede wszystkim ma wyciszyć spory na temat tradycji Kumari. Podczas naszych rozmów Rashmila wielokrotnie zaznacza, że chciałaby, by tradycja Kumari była kontynuowana. Na szczęście, według niej, pomimo zmiany ustroju (z monarchii w republikę demokratyczną) i nieustannych rozsad w elitach rządzących pozycja Kumari jest stabilna.

– Im bardziej chwiejne czasy, tym bardziej chwytnymi są sprawdzonych metod. Kumari reprezentuje społeczeństwo i dba o nie, jest nam wszystkim potrzebna. Należy tylko zmienić pewne regulacje. Zadbać o dziewczyny po wyjściu

---

\* Kurs rupii nepalskiej do dolara amerykańskiego to 100:1.

z pałacu: zapewnić im dalszą bezpłatną edukację, przeznaczyć dla nich stypendia naukowe, opłacić dożywotnie ubezpieczenie, zagwarantować bezpłatną i w wysokim standardzie opiekę medyczną. Traktować je jak obywatelki wyjątkowe, w służbie państwu – podkreśla Rashmila.

Tych wymagań nepalski rząd nie chce spełnić, co więcej, nawet nie bierze takiej ewentualności pod uwagę. Cały czas odwleka zajęcie się ustawą w tej sprawie. O poprawę losu kolejnych Kumari i niełamanie praw człowieka walczą liczne lokalne organizacje. Rashmila również nie pozostaje bierna, ale działa prywatnie, nie chce wiązać się z żadną z nich. Uważa ich poglądy za zbyt radykalne.

Zapytana, czy zasadna byłaby opieka psychologa dla Kumari odchodzących z urzędu, oznajmia, że nie widzi takiej potrzeby, bo one nie przechodzą przez żadną traumę, mają kochające rodziny i ich wsparcie. W Nepalu jest przecież dużo dzieci w znacznie gorszej sytuacji życiowej: sierot, wychowywanych się na ulicy, pracujących niewolniczo ponad siły. Im pomoc jest zdecydowanie bardziej potrzebna.

– Mieszkając w pałacu, gdzie wychowywałam się pod okiem opiekunów, a moja rodzina zawsze mogła przyjść w odwiedziny, jeśli chciała, to nawet codziennie, byłam dużo bezpieczniejsza i szczęśliwsza niż dzieci wysyłane do szkół z internatem, najczęściej daleko od domu. Po odejściu z urzędu było mi ciężko, musiałam zaadaptować się do normalnego życia, ale wróciłam do rodziny, która otoczyła mnie miłością. To prawda, że przez lata byłam izolowana od świata,

ale nie ja jedna. Dzieci z wysokogórskich wiosek też żyją w odcięciu i nigdy nie zetkną się ze światem pełnym perspektyw. Ja przynajmniej miałam szansę to nadrobić. Denerwuje mnie, że większość organizacji strzegących praw dziecka nie potrafi tego zauważyć i prezentuje tradycję Kumari w krzywym zwierciadle, że jest ona nieustannie brana pod lupę. Nigdy nie czułam, by moje prawa zostały naruszone. Byłam Kumari, a teraz jestem Rashmilą. Po prostu. Zakończył się jeden etap, rozpoczął następny. Czasami tęsknię za tamtym życiem, to było moje dzieciństwo. Dzięki temu, że byłam Kumari, jestem bogatsza o ważne życiowe spostrzeżenie. Dość unikatowe, jak przypuszczam. Życie śmiertelniczki jest trudniejsze niż życie Kumari. W zwykłym życiu na każdym kroku muszę udowadniać swoją siłę, podejmować walkę, liczyć się z porażką w pracy, na studiach, w rodzinie. W życiu Kumari nic nie musisz. Łatwiej jest być bogiem niż człowiekiem.

W 1977 roku na ekrany kin w Nepalu trafił pierwszy nepalski kolorowy film – *Kumari*. W technikolorze zaprezentowano miłosną relację eks-Kumari i tak zwanego zwykłego chłopaka. Oboje są młodzi, piękni i zakochani. Jednak, jak się łatwo domyślić, ich szczęście nie będzie trwało wiecznie. Twórcy filmu osadzili miłość głównych bohaterów w mrocznej scenarii czarnej magii i przesądów, czyniąc ją niemożliwą. Na młodzieńca pada klątwa. Chłopak umiera i z objęciem ukochanej wpada prosto w szpony śmierci.

Film, choć zagrany sztywno, odniósł wielki sukces. To przecież jedna z pionierskich produkcji filmowych w tym kraju. Nepalczycy całymi rodzinami wybrali się do kin, taśmy magnetofonowe ze ścieżką dźwiękową z *Kumari* rozeszły się w ekspresowym tempie. Rashmila po raz pierwszy oglądała go kilka miesięcy po ustąpieniu z urzędu, już w domu w czarno-białym telewizorze, w towarzystwie siostr. Wszystkie płakały, gdy na ekranie umierał piękny młodzieniec. Wtedy, jako nastolatka, nie odniosła tej historii do siebie.

– Mężczyźni się nas boją – żali się Rashmila. Wygląda na poważnie zmartwioną. – Ten film jest źródłem ich strachu. I źródłem moich problemów – mówi z coraz większym przejęciem. – To czysta fikcja, bez żadnego oparcia w faktach, wytwór czyjejś chorej wyobraźni\*. Byłe Kumari nie są niebezpieczne, nie mordują swoich mężczyzn. To bzdura wykreowana przez twórców filmu, która stała się powszechnym przekonaniem, że każdy, kto zakocha się w emerytowanej boginie, poniesie niespodziewaną śmierć w męczarniach. Każdy! Niestety, ma to realny wpływ na moje życie. Nikt nie chce się ze mną ożenić. Rodzice starają się zaaranżować moje małżeństwo już od dobrych kilku lat. Bez skutku. Nie dochodzi nawet do pierwszego spotkania. Jak tylko rodzina chłopaka dowiaduje się o mojej przeszłości, wycofują się. Boją

---

\* Film zrealizowano na podstawie popularnej w tamtych czasach powieści *Kumari Shova* Bijaya Bahadura Malli, która w 2001 roku doczekała się tłumaczenia na język angielski.



się mnie! Wiem, że to absurdalne, ale to prawda. Anita, moja poprzedniczka, z tego powodu nie wyszła za mąż. Wcześniej-sze Kumari nie miały takich problemów. Myślę, że te, które nastąpiły po mnie, też będą miały spokój. To stary film, nie jest znany wśród młodego pokolenia. Anita i ja trafiłyśmy na szczyt popularności tej produkcji i powstałej w konsekwencji plotki. Mamy pecha.

Studiuje informacje o poprzednich Kumari. Faktycznie, każda poza Anitą Shakya założyła rodzinę, powiła dzieci. Hira Maya Shakya, wybrana na Kumari w 1922 roku, zmarła w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat, przy mężu, który w dniu jej śmierci miał dziewięćdziesiąt dwa lata! To dość nietypowe jak na nepalskie warunki – zarówno wiek, jakiego oboje dożyli, jak i to, że mąż przeżył żonę. Urząd sprawowała jedynie przez rok – czy to mogło mieć jakieś znaczenie? Zachorowała na ospę i musiała zostać zdetronizowana. W wieku czterech lat była już emerytką, a piętnastu – mężatką.

W trakcie naszego pierwszego spotkania z Rashmilą obie jeszcze nie wiemy, że jej marzenia o zamążpójściu wkrótce się spełnią.

– Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, nie oddałabym jej.

Takie słowa padają z ust matki Rashmili podczas wywiadu z dziennikarzem „Cosmopolitan” w 1994 roku, czyli trzy lata po powrocie córki do domu. Dzisiaj, ze względu na wprowadzenie formalnej edukacji dla Kumari

sprawującej posługę, odpowiedziałyby inaczej, przynajmniej tak twierdzi.

Rashmila, chociaż nie czuje się skrzywdzona swoją dziecięcą historią, podziela zdanie matki. Nie chciałaby, żeby jej córka przechodziła przez te same trudy szkolne, co ona. Ale to już przeszłość, sytuacja się zmieniła.

Czy chciałaby zatem, żeby jej córka była Kumari? Hm, pytanie z kategorii niełatwych. Nie, nie chciałaby, czasy są inne. W Katmandu rodzi się mniej dzieci. Ona jeszcze nie jest matką, więc nie wie do końca, jak to jest, ale podejrzewa, że jeśli ma się tylko jedną córkę, trudno się z nią rozstać. Gdyby miała ich pięć, tak jak jej matka, pewnie by nie protestowała. Tak jak ona.

Nie ma do matki żalu, przynajmniej tak twierdzi.

|||

Czas pozostaje ten sam, zmienia się tylko miejsce. Nadal jesteśmy w Nepalu, nadal w Dolinie Katmandu, lecz teraz w newarskim mieście Patan.

Siedzę na schodkach pałacu i czekam na Samitę. Spóźnia się. Jej mama zapewnia, że zaraz przyjdzie, jest już w drodze ze szkoły. Po kwadransie rzeczywiście wchodzi na dziedzińiec. Ma granatowo-biały mundur, tornister i dwa długie warkocze – jej widok mnie szokuje. Niby uprzedzono mnie, że pojawi się w szkolnym stroju, już w ziemskiej wersji samej siebie; niby nie powinnam być zdziwiona, przecież doskonale

Jest w tej książce czas – czas, który autorka ma dla swoich bohaterów, wraca do nich po miesiącach i latach, starannie tka więź i zrozumienie. Jeśli chcecie pokochać Nepal bez pośpiechu, snując nici między jego żywą przeszłością i wibrującą współczesnością, czytajcie. Z głębokim oddechem, poczuciem przestrzeni, chwilą na zachwyt i ból. Wszystko to zdarza się w reportażu niezwykle rzadko.

**Paulina Wilk**

---

**Pierwszy na polskim rynku  
reportaż z Nepalu – kraju u progu  
zmian, stojącym w rozkroku  
pomiędzy starym a nowym światem.**

---

Spotkamy tu boginię dziewicę zatopioną w religijnej tradycji, dzieci odratowane z więzienia, które urodziły się i wychowały za kratkami przy boku osadzonych matek, ludzi gór, dla których linia himalajskich szczytów stanowi granicę horyzontu, zmuszane do prostytucji ofiary handlu ludźmi.

---

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 973757

w sprzedaży także  
**eBOOK**